



Wacław Żelazek

część IV z VII

Sygnatura notacji: **N0076**
Data urodzenia: **16.09.1919 r.**
Data nagrania: **17.09.2007 r.**
Miejsce nagrania: **dom świadka, Polska**
Prowadząca/y rozmowę: **Rafał Pękała, Anna T. Pietraszak**
Czas nagrania: **cz. I: 58 min, cz. II: 59 min, cz. III: 60 min, cz.IV: 60 min,**
Format nagrania: **video** **cz.IV: 60 min, cz.V: 59 min,**
Język nagrania: **polski** **cz.VI: 60 min, cz.VII: 61 min**



TRANSKRYPCJA



INSTYTUT
PAMIĘCI
NARODOWEJ

[00:00:00 POCZĄTEK NAGRANIA]

Rafał Pękała: Czy możemy wrócić do roku 1944 i do generała Andersa? Jakie, wujku, było twoje pierwsze spotkanie z generałem?

Wacław Żelazek: Moje pierwsze spotkanie, takie osobiste, to było w Rzymie, kiedy generał Anders miał spotkanie z pięcioma głównymi dowódcami wojsk alianckich. W takim pensjonacie, hoteliku oni się zebrali, a ja trzymałem tam gwardię, no i wszyscy wchodząc po kolei, witali się z nami, bo ja byłem właściwie w cywilu wtedy. Ja byłem jako taka straż przyboczna generała, ale tam chodzili wszyscy na posterunek, generał Clark, Eisenhower, byli wszyscy główni dowódcy wojsk alianckich i był generał Anders, mieli naradę wojskową. To ja wtedy go widziałem bliźutko, a później kilka razy go spotykałem, jak mówię, na podchorążówce byłem razem z jego synem. On go odbierał, koniec podchorążówki, defiladę. Wszystkich znowu się witał i... bo w Ankonie w czasie, zaraz po akcji w Ankonie, po zdobyciu Ankony była defilada. Włosi tam urządzali niesamowitą... Ja znowu byłem bliźutko generała, bo tam musieli się pilnować, robić porządku. No i tam też. No i na zdjęciu, które widać, ale to już było po wojnie, w 1964 roku, to była 20. rocznica bitwy pod Monte Cassino i przyjechała cała świta, on z Anglii przyjechał. Ja oczywiście przyjechałem z Argentyny, byłem w cywilu i tam żeśmy... Wracając z cmentarza po uroczystości, po mszy świętej, która się odbyła tam, którą odbywał zresztą arcybiskup Gawlina, szliśmy z powrotem z cmentarza po prostu, ja szedłem obok niego, no i żeśmy gawędzili, opowiadali. Pytał się skąd, gdzie byłem, jak, gdzie walczyłem, gdzieśmy się spotykali. No i tyle chyba.

Rafał Pękała: Jaki był generał Anders, jeżeli chodzi o kontakt z żołnierzami?

Wacław Żelazek: Oj, wspaniały człowiek. Wspaniały człowiek, jego kochali, uwielbiali żołnierze. Oni by poszli w ogień za nim. Przykład dla wszystkich niesamowity, odwagi, rozważności. I on kochał żołnierzy i żołnierzy jego. Mówię wam, żeby poszli... gdyby nam dał rozkaz iść na przelaj do Polski, po wszystkich przeszkodach, po wszystkich... to byśmy poszli. No, ale biedny nie mógł. On naprawdę cierpiał. On za nas wszystkich cierpiał, że musieli rozwiązać Korpus i że on, tak jak sobie marzył na pewno, żeby do Polski razem na czele Korpusu przyjechać, to na pewno cierpiał. A i po tym naszym spotkaniu ostatnim w 1964 roku, on umarł, później kilka lat, w 1972 roku bodajże. Ja oczywiście wróciłem do Argentyny, a on umarł w Londynie. Jego zwłoki są pochowane na cmentarzu na Monte Cassino. To sobie życzył tego, żeby tam być pochowany. Pod tym głównym ołtarzem jest jego grobowiec, obok jest generał Duch, to jest dowódca 3. Dywizji i arcybiskup Gawlina. W trójkę są pochowani na cmentarzu na Monte Cassino. Ja na cmentarzu na pogrzebie nie byłem, ale przeżywalimy wszyscy, zwłaszcza dawni kombatanci, Rosjanie po świecie gdzieś urządzali nabożeństwa żałobne i tak dalej, ale wtedy już pojechać na pogrzeb nie było możliwe. Ale ten pogrzeb podobno był bardzo piękny. Przyjechali, kto mógł, zwłaszcza ci kombatanci, którzy byli w Anglii, to podobno całą chmarą przejechali. Był drugi najazd na Monte Cassino.

Rafał Pękała: Czy wujek utrzymywał i utrzymuje kontakty z innymi współtowarzyszami broni z Korpusu?

Wacław Żelazek: No więc dopóki byłem w Argentynie, myśmy tam mieli, od razu zorganizowaliśmy nasze kombatankie, z tym że ja nie byłem nigdy w Buenos Aires. To koło było w samym centrum Buenos Aires. No, a ja byłem zawsze poza. Przynajmniej stolica, jak byłem w La Plata, to jest 50 kilometrów stolicy, prowincji Buenos Aires, no, było trudno dojeżdżać. Za to mój brat, ten Kazimierz, on miał więcej, ja miałem rodzinę zresztą, musiałem mężczyzna rodzinę utrzymywać, trzeba było pracować, trzeba było się kręcić więcej. Mój brat był jeszcze wtedy i on tak, on jeździł na każdą uroczystość, do kombatantów, do domu polskiego. Tam się ciągle spotykali i mieliśmy kontakt. A ja tylko jeździłem na uroczystości patriotyczne. 3 maja, 11 listopada, te wszystkie, to jak najbardziej. No i później, jak mówię, na każdą wielką rocznicę, 5-lecie najpierw, później 10-lecie bitwy pod Monte Cassino, to jeździliśmy z kombatantami do Włoch. Ale tak bezpośredniego kontaktu to ja właściwie nie miałem z nikim. Miałem brata koło siebie, który był kombatantem, Sybirakiem, i on tak, on utrzymywał, ale ja mniej. Tylko byłem zapisany do kombatantów, jak później przyjechałem, tutaj do Polski wróciłem, to oczywiście się zgłosiłem na jakiś tam, pomoc jakąś dla kombatantów, dla byłych, ale wiecie, jak długo się musiałem starać. Chyba ze dwa lata czekałem. Bo akurat jak wróciłem, to było w 2000 roku, zaraz złożyłem podanie, to mi powiedzieli, że jest przedawnione. Przedawnione, takie jakieś były wtedy i komuniści byli, i tu przy rządzie, no więc, że już nic nie mam do roboty. Dobrze, mi już specjalnie nie zależało, bo ten dodatek kombatanski, co miałem, mnie urządzał. No, ale pomimo to, chyba dwa lata czekałem, Później ni stąd, ni zowąd, ten mój tutaj bratanek prawnik, przychodzi i mówi, nie, jakieś nowe prawo wyszło, że tamten dekret jest unieważniony i dalej są ważne wszystkie prawa kombatankie. I rzeczywiście, przystali mi od razu całe zaświadczenie z Anglii od 2. Korpusu i od Anglików zaświadczenia z mojej służby wojskowej, którą mam tutaj i przystali mnie od razu, żeby się przedstawić do ZUS-u, żeby mnie wypłacali ten nędzny, co prawda, dodatek kombatanski. No, ale i wtedy idę do ZUS-u, tutaj do Drawska, bo tu jest ZUS, w Złocieńcu nie ma. I oni mówią, tak, proszę pana, jak najbardziej, panu się należy, od czasu, kiedy do nas przyszło to zawiadomienie. Mówię, a te dwa lata, na które czekam za to? A, no, to jak chce pan robić proces, to pan wygra na pewno i dostanie, ale my na razie wypłacimy tu, od tego dnia, kiedy przyszło zawiadomienie, że pan ma te świadczenia kombatankie zapewnione. Ja oczywiście żadnych procesów

nie robiłem i do dzisiaj nie robię, ale dostałem, punktualnie przysyłają ten dodatek kombatancki, z tym, że jak mówię, dzisiaj jest wyższy niż moja emerytura argentyńska. Grosze jedne i drugie, ale przyda się i to. Chociażby na wydatki domowe, na opłaty tutaj tego domu.

Rafał Pękała: Ja mam pytanie takie, brat Kazimierz uczestniczył w życiu domu polskiego kombatanatów.

Wacław Żelazek: Jak najbardziej.

Rafał Pękała: Jak to życie wyglądało? No, jak wyglądało tam życie, to oni mieli zebranie, on należał do chóru, miał piękny głos. Tenor niesamowity. Bardzo lubił śpiewać i oni mieli co tydzień próby. I on biedny co tydzień się zjawiał po pracy, bo pracował przecież też i po pracy wieczorem jeździł na te próby 50 kilometrów koleją, a tam nie jest takie połączenie, że się wsiada na pociąg i jedzie. Ten pociąg 50 kilometrów to potrafi w dwie godziny jechać. Ale z poświęceniem on prób żadnych nie zostawił, no i ten chór się spisywał niesamowicie. To był chór mieszany i jak mówię, występowali nawet w telewizji argentyńskiej, to ich często zapraszali, żeby śpiewać. A jak przyjechał nasz Ojciec Święty do Argentyny, to sobie możecie wyobrazić, jakie występy wtedy były. No i tak w ten sposób on, jak najbardziej uczęszczał i ten kontakt utrzymywał. Za mnie też. A ja jak mówię, musiałem więcej pilnować rodziny i moich obowiązków, no i gonić za handlem, za ziemią najpierw, później za handlem. I mniej raczej się uczęszczałem, ale za to chcę odbić sobie teraz. Dlatego, co nie mogłem zrobić dla Polski tam w Argentynie, chociaż jak mówię, zawsze broniłem i tak dalej, to teraz mówię, resztki moich sił chcę oddać Polsce. I robię wszystko, co mogę, żeby w Polsce, zmienić Polskę na lepsze oczywiście.

Rafał Pękała: A oprócz chóru, jakie jeszcze formy, jakie spotkania oprócz chóru, oprócz obchodów świąt narodowych, jakie jeszcze formy przybierała działalność właśnie domu polskiego? No więc jak mówię, Polacy się organizowali, jak tylko mogli, więc już zaraz po przyjeździe stworzyli przede wszystkim chyba ze dwa osiedla polskie. Jeden na pewno się nazywał „Orzeł biały”. To było całe osiedle wybudowane przez Polaków dla Polaków. To były domki jednorodzinne i wtedy się zajmowali, organizacja była taka, żeby wszystkich Polaków, jak najlepiej urządzić, jeden drugiemu pomagał, bo byli tam ludzie bardzo inteligentni. Inżynierowie, nasi dawni generałowie i tak dalej, to wszystko dążyło i się łączyło przez kombatanatów, przez ten sławny... bo to od kilku lat, on od początku jak ja tam teraz zajechałem, na pewno nie był, ale przynajmniej już od 1990 roku zaczął pracować ten Kobylański. Pan Kobylański, niesamowicie bogaty człowiek, który połączył wszystkie te stowarzyszenia, bo przy każdej dzielnicy, a to przecież w Buenos Aires było 11 milionów ludzi. Buenos Aires, w wielkim Buenos Aires nawet więcej. Każda dzielnica to miała jakieś stowarzyszenie polskie. To Kobylański wziął, wszystko zgromadził razem, tym biedniejszym pomógł a bogatszych połączył, zrobił jeden piękny dom w samym centrum Buenos Aires i odnowił go pięknie, bibliotekę zaprowadził niesamowitą, tam była sala, gdzie się odbywały różne teatryki, restauracja polska, gdzie mogli przynajmniej trzy razy w tygodniu, to się Polacy zbierali, przy uroczystościach, przy jakichś imieninach czy coś, to odbywało się tam w tym środowisku polskim. Ale to naprawdę jak mogą dużo, psioczą i opowiadają, to dużo trzeba zawdzięczać panu Janowi Kobylańskiemu. Wspaniały człowiek. Naprawdę on tam pomagał niesamowicie. No i połączył, nie tylko naszą wspólnotę argentyńską, ale całą Południową Amerykę. Bo on właściwie mieszkał i jego posiadłość miał w Urugwaju. To jest obok. Ale w Brazylii jest dużo Polaków, którzy nie byli zbyt rozproszeni i we wszystkich tych państewkach, i państwach

Południowej Ameryki, on to wszystko podszedł, a później stworzył nawet wspólnotę w ogóle amerykańską. Wtedy był prezesem Polonii amerykańskiej pan Moskal, którego też tutaj strasznie oczerniali, niesamowicie. I broniłem, zawsze pamiętam i oni się razem... i robili razem, zbierali się i żeby tę Polskę spójnie jakoś połączyć. I pomagali Polsce przede wszystkim. Przecież Moskal, wiecie, Moskal 20 milionów dolarów dał tylko Gazecie Wyborczej, panu Michnikowi, która później pluła na niego. Tak, Polonia amerykańska 20 milionów dolarów dała. Bo to przecież wtedy wydawało się, to jest solidarnościowa gazeta, że to jest nie wiadomo co. A później pluli na niego jak najwięcej właśnie Michnik. Najwięcej w Gazecie Wyborczej. Więc broniłem, gdzie się dało i to są dwóch, których ja... Moskala nie znałem osobiście, ale Kobyłańskiego tak. I mnie mogą mówić, co chcą, będę go bronił, bo on naprawdę tam bardzo dużo zrobił dla Polski, dla Polaków. O, była taka sławna, na głównym parku, posąg Marii Konopnickiej. To jest też dzieło Jana Kobyłańskiego. Posąg Jana Pawła II, robota Kobyłańskiego, znaczy w połączeniu tam z Polakami, ale jego pieniądze. To więc pełen uznania jestem. No i tyle.

Rafał Pękała: Wujku, wujek z Polski pojechał do Włoch, potem z Włoch trafił do Argentyny, wrócił do Włoch, potem wrócił kolejny raz do Argentyny, ale dzisiaj rozmawiamy w Polsce.

Wacław Żelazek: Tak.

Rafał Pękała: Jak to się stało, dlaczego i kiedy?

Wacław Żelazek: W 1947 roku, zaraz po wojnie pierwszy chyba transport polskich żołnierzy żonatych z Włoszkami, to pojechałem ja. Jako pierwszy, to był pierwszy transport. No i jak mówiłem, tam w Argentynie pięknie się urządziłem, była możliwość taka, bo był dobrobyt niesamowity, panował Peron, co prawda, który nas specjalnie chciał ściągnąć, co się tylko pytali przy wejściu i czego, czy my to nie... nie chcieli Żydów. Nie chcieli polskich Żydów. Chcieli Polaków. Pytali się o wyznanie. Ale katolik Polak to już miał drogę otwartą. Później była taka wolność w Argentynie wtedy, której nigdzie na świecie nie ma. Ja dostałem na drugi dzień po moim przyjeździe, dostałem dowód osobisty, identyczny, jak miał każdy Argentyńczyk, który do dzisiaj jest ważny. Ten numer, który ja tam dostałem na dowodzie osobistym, to on idzie do mnie do śmierci. Na wszystkich dokumentach. Później zrobiłem obywatelstwo, wyrobiłem sobie emeryturę. Na wszystkich dokumentach zawsze jest ten sam numer, który dostałem na drugi dzień po przyjeździe. I z tym dowodem osobistym, gdzie było napisane tylko, że nie jestem Argentyńczykiem. Ale nic więcej. I z tym dowodem i przy tej wolności, to ja mogłem... żeby tylko nie mieć zadarcia z policją, z polityką, nie mieszać się. To była wolność zupełna. Nikt mnie się nie pytał, gdzie jestem, co robię, gdzie mieszkam, nic. I do dzisiaj tak by mogło być. Z tym tylko, że później ja sobie w 1960 roku, jak mówiłem, zaczęły się niesnaski, Peron umarł w 1955 roku. I od śmierci Perona to właściwie się zaczęły w Argentynie już ciągłe niesnaski. Ale najważniejsze było to, że mój brat Stanisław, Zmartwychwstaniec przyjeżdżał do Włoch, do Rzymu na kapitułę generalną. No więc ja z bratem się nie widziałem, jak mówię, około... przeszło prawie 30 lat. I w Argentynie były te niesnaski, zwłaszcza moje dzieci studiowały w szkołach katolickich, a tam właściwie był najazd na szkoły katolickie, Zniechęciło mnie to, już zaczęły się dewaluacje i zdecydowałem się na powrót do Włoch, ponieważ tam mam rodzinę, żona moja Włoszka, i zdecydowałem się na ten powrót do Włoch. Straciłem pół majątku, jak powiedziałem, przez dewaluację, ale pomimo to przyjechałem. W 1960 roku akurat była olimpiada, gdzie Polacy wspaniałe zwycięstwo odnosili na olimpiadzie w Rzymie,

w 1960 roku. Polacy wtedy byli na piątym miejscu w światowym... na olimpiadzie. Coś wspaniałego. No i później się urządziłem. Najpierw niedaleko Monte Cassino w miejscowości mojej żony, rodziny mojej żony, niejako Arpino się nazywa, przepiękna miejscowość tak położona, jak Cassino, jak Monte Cassino, do góry, też w górach. Nie wysokich, ale 800-900 metrów ponad poziom morza. Piękna willa, a tylko tam są takie porządki, że tam jak się raz wejdą ci lokatorzy, ci, którzy uprawiają tę ziemię, to ich więcej nie można ruszyć. Takie Mussolini prawa zrobił, no i tak się to trzymało, więc ja tam nie miałem nic do roboty. Później zacząłem próbować handel w Rzymie, przenieśliśmy się do Rzymu, już jak zrobiłem piękne mieszkanie i to handel, i sklep chciałem otworzyć, to się nie udało. Nie na moje nazwisko, na nazwisko mojej teściowej, Włoszki. Bo gdyby na moje, to by w ogóle nie było mowy. Ale nie udało się, oszukali mnie. Mam niemiłe wspomnienia. I we Włoszech wtedy nie było przecież Unii Europejskiej. Tam była bieda jeszcze dalej. W 60. latach, no to... ale jedyną satysfakcją, jaką miałem, to że spotkałem się z bratem, że kilka tych lat z bratem byłem i że on mnie namówił do wyjazdu do Polski, że jeździłem do Polski. Osiem lat byłem we Włoszech, od 1960 do 1968, to ja byłem 4-5 razy w Polsce. Moim samochodem. I wtedy właściwie dopiero poznałem Polskę, bo wtedy objechałem i zwiedziłem wszystkie zakątki Polski. I po 1968 roku pamiętam, akurat był najazd na Czechosłowację. Pamiętacie, 1968 rok, ten sojusz bolszewicki rzucił się na Czechów i ja przejeżdżałem chyba miesiąc przez Czechosłowację, żeby się dostać do Austrii i wracać do Rzymu. Z Rzymu miałem wtedy... wracałem i przyjechałem, i wracałem z powrotem okrętem. No i jeździłem, już tam widziałem te przygotowania, ale jeszcze nie było wiadomo, że będzie ten najazd, ale widziałem, tam wszystko takie nerwowe chodziło, a ja przecież tych Czechów, to nie lubiłem, i wtedy mnie się wydaje, że Czesi to byli najwięksi komuniści w Europie. Więcej na pewno niż Polacy. Tam przecież pamiętam, posąg Stalina stał w Pradze. Najwyższy postument tam był i jak wszystkie tu w Polsce były już obalone, ten posąg zawsze stał. Jak ja później wracałem już z Argentyny i przyjeżdżałem do Polski, i znowu przyjeżdżałem przez Pragę, posąg jeszcze stał. Nie wiem, kiedy go dopiero obalili. W każdym razie nie wróciłem do Polski, później okrętem, bo okrętem włoskim pierwszy raz to pojechałem okrętem, naprawdę wspaniałym. To on był chyba Conte Verde. No, były naprawdę wakacje. Bo jak pierwszy raz to jechałem 33 dni z Genui do Buenos Aires, tak tym okrętem włoskim jechałem 18 dni. To prawdziwe wakacje tam, wspaniałe okręty. No i zajechałem, no i trzeba było w Argentynie zaczynać od nowa. Ale jechałem już sam, bez rodziny. Od nowa, bo tam już był niesnaski, ale ponieważ tak jak mówię, trochę bozia pomogła, no i Polacy są zaradni, dałem sobie radę. I już hurtowni i handlu specjalnie nie miałem, ale jak mówi, dalej, jak wróciłem do moich klientów, to wszyscy z otwartymi rękoma tylko czekali, mówi, za moją punktualność, za to, mówi, mnie szanowali i od razu wszyscy wrócili. Tylko że ja zamawiałem towar... nie, zamawiałem towar u klientów. I do fabryki robiłem zamówienie większe, oni mi to przysyłali i ja oddawałem klientom. I to prowadziłem przez jakichś dobrych 10 lat. I w ten sposób znowu na nowo musiałem się dorobić, bo pojechałem bez niczego. Bez grosza. Wszystko zostawiłem rodzinie we Włoszech. No i od nowa zacząłem i tak powoli, powoli dorobiłem na nowo i znowu miałem domek, znowu miałem... nawiązywałem kontakty, aż do tego czasu, kiedy dostałem emeryturę. Wpłacałem oczywiście na emeryturę i dostałem emeryturę i wtedy już dewaluacje były straszliwe, mówię, nie opłacił się handel, ja ponoć byłem zawsze solidny, bratem takie zamówienie, dawałem cenę i do fabryki kupować, ten towar będzie kosztować dwa razy tyle. No a ja musiałem oddać, no bo jak powiedziałem słowo, że tyle i tyle dostarczę towar, to traciłem pieniądze, bo myślałem, że to się naprawi, a to się nic nie naprawiło, tylko coraz gorzej było. Więc zlikwidowałem to i przeniósłem, i zrobiłem sobie to ostatnie moje dzieło w Argentynie. Powróciłem znowu na pole. I kupiłem sobie hektar ziemi pustej, tylko jak mówię, osty niesamowite były, trzeba było karczować ręcznie. Wejść nie było można, takie osty wysokie, wyższe ode mnie. Wykarczowałem to i później ksiądz z Polski, ten

ksiądz Kazimierz, sąsiad niedaleko zresztą, miał traktorek. On przyjechał i pierwszy mi tu zaoarał. Zaoarał, bo to było jedno dawne pastwisko i opuszczone pastwisko. No i wtedy, jak on już zaoarał, to najpierw obsadziłem to pole, więc zrobiłem jakiś plan, zrobiłem, obsadziłem tymi orzechami. Wszystkie małe drzewka, całe avenidy, to wszystkie wejścia naokoło z jednej i z drugiej strony, wszędzie były eukaliptusy, wszystko małe drzewka. Teraz jak po 5-10 latach co tam byłem, olbrzymie drzewa, wszystko powyrastało. No i później zacząłem budować dom. Nigdy nie będąc żadnym budowlanym, ja sam własnoręcznie wybudowałem dom. Przyjechał tylko Polak znajomy, który był naprawdę inżynierem budowlanym, on mnie wskazówki dawał. Tyle fundamentu, tutaj zrobić słupy, tutaj prościutko te cegielki stawiać, i tak mnie prowadził. On nigdy nie pracował, ja sam. Jeszcze handel uprawiałem i budowałem ten dom. Najpierw wybudowałem dwa pokoje, kuchnia, łazienka. Później wybudowane, to inauguracją, pamiętam, przyjechali wszyscy znajomi, ale mówię, tyle gości przyjeżdża, mówię, to dobudowałem drugi dom obok. Drugi apartament taki sam. Też dwa pokoje, druga łazienka i wejście wspaniałe. I tak, że miałem cztery pokoje, dwie łazienki, dwie kuchenki, dwa apartamenty. Tak że mogłem gości przyjmować na prawo i lewo. W tym czasie rzeczywiście zrobiła się przepiękna oaza. A mówię wam, cała Argentyna to jest jedno wielkie pastwisko. A ja zrobiłem na tej równinie, na tym pustkowiu to zrobiłem taką oazę prawdziwą. Taka oaza powstała, że przyjeżdżali ze wszystkich stron różne narodowości. Jak zobaczyli coś takiego, no to wszyscy chcieli kupować. A ja mówię, na razie nie. Nie myślałem o tym. Dopiero od tego spotkania, Jan, Maryś, Peszkowski i Ania przy posągu, na placu w Warszawie przy kolumnie Zygmunta, tam rozmawialiśmy i mówię, Peszkowski, byczku, będziesz siedział w tej Argentynie, przyjeżdż, będziemy razem pracować tutaj. I tak mnie namówili, naprawdę. I o, Ania mi podarowała koszulkę z pięknym napisem „Polska”, którą mam tutaj, mogę wam pokazać. Tam się paradowałem tą koszulką. Się nigdy nie wstydzilem. I dlatego mnie szanowali tam Argentyńczycy przede wszystkim. No i moją wiarą, bo do kościoła, to ja ich tam, ksiądz Kazimierz, czy Polacy mieli niedaleko mnie, jakiś mówię, kilometr, może trochę więcej jak kilometr w linii powietrznej na tych polach się tylko przechodzi i było takie polskie gospodarstwo przez nich wybudowane, zorganizowane. No, to tam nikt do tego kościółka nie przychodził, tam różni sąsiedzi porozrzucani, co prawda, ale tam było. Ale jak ja się tam dostałem do księdza Kazimierza, jak ja im dałem przykład, to tam się zapełnił tak, kapliczka, ten kościół. No i... A po kościele później, to robiliśmy tam u księdza sobie zebranka takie, no i się obrabiało i politycznie, niepolitycznie. No i było kilka rodzin polskich. Później była sławna taka artystka argentyńska, już nawet wielka przyjaciółka właśnie tego księdza Kazimierza i ona też na te nabożeństwa przyjeżdżała do tej kapliczki księdza Kazimierza i tam się dowiadywała o Polsce, a ona była naprawdę, no, może jedna z najślawniejszych artystek, i śpiewaczka, i artystka teatralna, występy, także bardzo sławna, no i przez księdza Kazimierza... No i proszę państwa, tak długo było, że wreszcie zacząłem po namowie Ani, księdza Peszkowskiego i Mariana, mówię sobie, dosyć Argentyny, mówię, wracam do Polski. Wracam do Polski... a ja już jeździłem wtedy, to byłem na 1998, to było 50-lecie... 80-lecie Mariana i 50-lecie kapłaństwa, to przyjechałem. Później jeszcze raz przyjechałem, nie wiem, z jakiej racji, z wycieczką Polaków. I tu mi zaczęli szukać, organizować, i z moją siostrą starszą, która żyła wtedy w Poznaniu, Marianna, tak żeśmy się umówili, że ja sprzedam Argentynę, kupuję coś, domek kupuję i będziemy razem gospodarzyć i mieszkać. No i ona bardzo lubiła to, bo tu mam siostrę, najmłodszą siostrę, która mieszka niedaleko. No i tutaj jak przyjeżdżałem z Argentyny, to ona, to Marianna mnie ciągnęła, żeby odwiedzać rodzinę, no i do tej siostry. Tu jej się najbardziej... i ja też pokochałem to Pomorze, bo to naprawdę mnie się wydaje, to jest najpiękniejsza częśćka Polski. Te lasy, jeziora, to powietrze, ta cisza, spokój. Naprawdę jest urzekające. No i dałem zlecenie memu siostrzeńcowi, który tutaj będzie wieczorem, żeby poszukał mi coś. On jest prawnikiem. No i jeździliśmy i oglądaliśmy. Wczoraj mi tam pokazał ten

domek, jeszcze inny. I wreszcie trafiłem tutaj. Potem była wdowa po weterynarzu, po lekarzu weterynarzu, no i jak zobaczyłem ten domek, to mówię, ten jak najbardziej. I była cena dostępna. I później było to umeblowanie, to wszystko, ja mówię, jeśli on mi to sprzeda, no to jak stoi. Żeby to wszystko zostało tak jak... jak najbardziej, oczywiście. Dopłaciłem jeszcze do tej ceny wywoławczej, no i wtedy jeszcze, że on miał ten dom na sprzedaż, dlatego, że ta została sama mama wdowa, a on jeszcze miał trzech synów. I jeden był lekarzem w Toruniu. I tę mamę chciał koniecznie, sprowadzić tam do siebie. Budował jej domek. W Toruniu gdzie, nie wiem, w jakim miejscu, nie mam adresu, ale wiem, że on tam, ten domek budował. A ten dom był na sprzedaż. I on to dał jakiejś agencji. I prosił mnie bardzo, jak zobaczył mnie, już myśmy zrobili, żeby dom... bodajże pięć miesięcy musiałem czekać, aż wygaśnie kontrakt z tą agencją, tam jaką miał. Więc ja mu dałem zadatek i to dobry zadatek, to już niby było moje, ale dalej on mieszkał, dopóki ten kontrakt jego tam nie wygaś. Jak wygaś, od razu następnego dnia już zebranie, zapłaciłem gotówką resztę i jeszcze ubiliśmy to, żeby zostawił mi całe wyposażenie w domu, no i dopiero się tutaj wprowadziłem. Oczywiście na początku, to był zjazd rodziny, nie rodziny, odwiedzanie, wszystkim się spodobał. Moja córka przyjechała, wtedy była w Anglii. Z Anglii bezpośrednio, jak tu pierwszy raz weszła, to nie mogła się nadziwić, a jeszcze nie byliście na strychu, po tych schodach do góry, latała jakby nienormalna. No i myślałem, że się jakoś to unormuje. No, jak mówię, ale przedtem jeszcze zanim, to siostra umarła. Tak że moja siostra tutaj nigdy właściwie nie doszła. No to wtedy miałem nadzieję, żył jeszcze mój syn i córka. Syn był dobrze urządzony, w Rzymie mieszkał. Żona tak samo. No więc myślałem, że ich ściągnę tutaj. No, wtedy umarł syn w 2002 roku. Córka była tu kilka razy, ale ona nie usiedzi, bo jak mówią, ona ma depresję, czy może nawet gorzej jak depresja. Jak jest normalnie, dobrze, w porządku, to jest kochana dziewczucha. A jak ma atak, to wtedy jest... różne rzeczy. No, więc... a teraz tak, a moja żona, nie, ona Rzymianka, ona ma swój kościółek tam na każdym narożniku, a ona musi iść dwa razy do kościółka w ciągu dnia. Ona ma swoje tam towarzystwo. Tutaj do mnie nie przyjedzie. A jak nie przyjedzie, no to, co ja miałem zrobić. To jestem sam. I czekam o, kiedy Ania przyjedzie i może coś zorganizujemy.

Rafał Pękała: Wujku, mam pytanie jeszcze jedno. Wróćmy na chwileczkę do roku 1944. Bo to jest tak, wujek wchodzi już jako żołnierz Korpusu po przeszkoleniu, po bitwie pod Monte Cassino, zostaje skierowany do dwójki. Potem tak właściwie, gdyby patrzeć na działania, to chwilę potem, po Bolonii, kończy się szlak bojowy, bezpośrednio w walce 2. Korpusu.

Wacław Żelazek: Tak.

Rafał Pękała: Ale czy wujek uczestniczył w walce na linii, na froncie, w jakichś potyczkach?

Wacław Żelazek: No więc tak szczerze mówiąc, to ja do nieprzyjaciela sam osobiście nie strzelałem nigdy. Bo ja zawsze byłem z tyłu albo we wejściu, po opanowaniu jakiegoś obiektu, to mnie pierwszy tam na przygotowywanie obiektu tych MP z dowództwa i tak dalej, pilnowanie dowódców, ale ja osobiście w walce wręcz nigdy nie asystowałem. Uzbrojony byłem, znałem się na tym, bardzo blisko byłem bitwy, przy bitwie, ale sam oczywiście nie brałem udziału. Tylko że może moje usługi w tym Korpusie to może były bardziej owocne niż tego żołnierza na froncie. Tam samo jakbym się mógł wyrazić o naszych paniach. Nasze „pestki” się nazywały, które prowadziły, wiecie, na front w Monte Cassino, to był chyba brat na przykład, który był tam do góry, widział, to mówię, opowiadał, że żaden

żołnierz by tam tym ciężarówką do góry nie podjechał w nocy przy obstrzale. Tylko nasze kobiety, nasze panie, które też wyprowadzane częściowo z Rosji, częściowo dołączały do Korpusu. Miały specjalny oddział, PSK. Tak że były bardzo szanowane, a później, ponieważ już we Włoszech Anders wyprowadził całe rodziny i to osiedla... te „pestki” oczywiście to był kontakt między tymi osiedlami i żołnierzami. To jedna wielka rodzina się robiła. No, później małżeństwa mieszane, niemieszane, żołnierzy z tymi „pestkami”, no były wspaniałe czasy. A ja w tym czasie po Bolonii, po działaniach, mnie przyznaczyli od razu do tego głównego ośrodka w Rzymie i w tym Rzymie byłem do końca, aż do demolizacji.

Anna T. Pietraszak: Jaki to był ośrodek, jak on się nazywał?

Wacław Żelazek: Kto?

Anna T. Pietraszak: Ten ośrodek, co to był za ośrodek?

Wacław Żelazek: No to był ośrodek... jakby to powiedzieć, przyjmowania czy urządzania naszych turystów. Komenda Placu się nazywała. Komenda Placu, Rzym. Ja tam byłem takim... mieliśmy tylko kapitana nade mną i jeden porucznik, no i ja jako starszy już podchorąży, to myśmy prowadzili. A te wycieczki przyjeżdżały całymi gromadami. Co na 3-4 dni się zmieniały. Grupa żołnierzy polskich i z Ankony, z Bolonii, z całego frontu, gdzieś tam z północnych Włoch. Wszyscy chcieli ten Rzym zobaczyć, jak już są we Włoszech. No, to myśmy musieli ich, jakby to powiedzieć, przygotować lokum dla nich i nimi się zajmować i tak dalej. No, i później nie raz był zajścia. To z policją włoską, to tłumacza było potrzeba, to były wielkie, że tak powiem, wielka praca przy tym. I tam były zaraz zjazdy to harcerzy, z Peszkowskim to tam się spotkałem na takim zjeździe harcerzy w Rzymie.

Anna T. Pietraszak: A w którym roku?

Wacław Żelazek: No to był rok chyba 1945.

Anna T. Pietraszak: A z kim jeszcze się spotkaliście, z jakimiś znanymi osobami?

Wacław Żelazek: Z osobami, cała świta tych oficerów, generałów, to wszystko przechodziło, jak mówię, przez moją ewidencję prawie. Jak przyjeżdżali do Rzymu, tam musieli się meldować u nas. Musieli być, no to przechodzili wszyscy przez moje ręce.

Anna T. Pietraszak: A czy w tym były też jakieś jeszcze dodatkowe zadania, czy rzeczywiście tylko organizacja tych pielgrzymek?

Wacław Żelazek: Tam było właśnie to zebranie, na którym byłem wcześniej. Wszyscy komendanci się zbierali na narady. Było takie, pamiętam, zebranie, to i ruski i przyjechali już po wojnie. W takim teatrze włoskim zrobili sobie zabawę wszyscy komendanci alianccy. No i tam był Anders, oczywiście my jako eskorta Andersa tośmy tam musieli

być. Oprócz tego zebrania tam z oficerami alianckimi tylko, ale tam było ogólne, bo te ruskie należały wtedy do obozu alianckiego. A myśmy się bali, żeby tam czasami nie było jakiejś, że tam byli Polacy też, tak? Żeby nie było jakiegoś starcia.

Anna T. Pietraszak: To jakie były takie praktycznie zadania, bo ty jak mówisz, że eskorta, to znaczy, że byłeś żołnierzem, czy byłeś ochraniarzem Andersa?

Wacław Żelazek: No więc byłem raz żołnierzem, a raz byłem w cywilu. Byłem takim tajniakiem. Rozumiesz?

Anna T. Pietraszak: I jakie są wtedy zadania? Jakie czynności robi taki człowiek?

Wacław Żelazek: No, żeby pilnować Andersa, żeby mu się krzywda nie stała.

Anna T. Pietraszak: To znaczy, stałeś bardzo blisko niego i patrzyłeś?

Wacław Żelazek: Nie, nie bardzo blisko. Przy drzwiach, pewnie, że jak narady, tam do środka nie wchodziliśmy, ale przy drzwiach, przy wejściu, przy wyjściu, nawet na tej zabawie tam. Tak generał rosyjski, wszyscy alianccy i tam się bawili i ucztowali razem, to myśmy tam gdzieś z boczku zawsze patrzyli, co się dzieje. Żeby w razie czego... O, jeszcze powiem wam jedną rzecz. Był wtedy ten upadek królestwa włoskiego, no i zaczynała się republika włoska, ale jeszcze panował król. Już nie król ten Emanuel, ten stary król, którego wyrzucili, tylko jego syn. I myśmy też wychodzili tam, pamiętam na narożniku Kwirynału, tego pałacu królewskiego, gdzie już zaczęły się komuniści, bo to komuniści chcieli obalić to królestwo włoskie. No więc oni tam cały plac zapelnili i czekali, żeby ten król wyjeżdżał z pałacu i go zlinczować po prostu. A myśmy tam na narożnikach, bo nas wystali, żeby patrzeć, co się dzieje. Bo myśmy gdzie się udało, komunistów żeśmy spotykali po drodze, to łubudu, w Bolonii zwłaszcza, po zajęciu Bolonii, to już od razu komuniści, bo tam są to bolłowaci, że ich dlatego nie lubię, jak dawniej byli faszystami, to później się zrobili wszyscy komunistami. Jak byli czarni, to na czerwony się przebrali. No i w Bolonii, którą zajęliśmy i myśmy ją zdobyli, nas zrobili honorowymi obywatelami, zwłaszcza Andersa. Takie nam... to później Anders przyjechał na 20. rocznicę bitwy pod Monte Cassino, to nie chcieli go do Bolonii wypuścić. Zabronili mi wjazdu do Bolonii, jako persona non grata. A teraz właśnie na tym poligonie tutaj byli Włosi. My tu mamy szkołę generała Andersa i po poligonie przyjechali tutaj z orkiestrą, generał i nie wiadomo co, mnie tu rektor tej szkoły woła, i tam jest, to już ci Włosi wychwalają teraz Polaków niesamowicie. A orkiestra hymny grała włoski i polski. On przemówienia, w tym przemówieniu po włosku oczywiście miał tę tam tłumaczkę, która tłumaczyła i po włosku opowiadał, mówił, jak Polacy zdobywali Bolonię i jak oswobodzili jego ojca, którzy wtedy ci partyzanci włoscy, ci dawni faszyci, mieli go jako... że on wielki bohater i Polakom zawdzięcza, że ojca jego zwozili, no i oklaski, nie oklaski. No i później ja zabrałem głos i po włosku mówię właściwie do niego. Mówię: „Panie generale, no słusznie pan mówi, że Polacy tę Bolonię zdobyli, tylko chciałem panu przypomnieć o tym, jak to 20 lat potem ten generał Anders, któremu dawaliście najwyższe odznaczenia włoskie, honorowe obywatelstwo waszego miasta, toście go nie chcieli wypuścić”. On głowę spuścił, mówi: „O tak, tak, my to wiemy, wstydzimy się tego, teraz tam wielkie plaki, wielkie wynagradzające”. I mówi: „Wiesz, z powrotem do honoru wraca Anders”. Ale później był wielki przyjaciel, mi tam zostały pamiątki różne włoskie i tak dalej, Ander-

sa, nigdy z nim kontaktu nie utrzymałem oczywiście. No, ale mu o to zwróciłem uwagę, bo tak było. Jak było przykro Andersowi, mówię, cmentarz między Bolonią a Ankoną, Forli, tam jest większy jak na Monte Cassino polski cmentarz. I obok jest cmentarz [niezrozumiałe, 00:46:10], to znaczy angielski, australijski, nowozelandzki, obok. Pięknie utrzymany. Jak ja jechałem z bratem, bo ja raz do Polski jechałem też z bratem Kazimierzem, albo jeszcze jechałem z Argentyny, i jechałem do Polski, to myśmy te cmentarze wszystkie odwiedzali Mówię wam, to był tak opuszczony ten polski cmentarz tam, a obok ten angielski wspaniale utrzymany. To jeszcze były te czasy, właśnie 60. lata, kiedy Anders był persona non grata. Teraz podobno już, nie byłem więcej na cmentarzu tam, ale mi mówił, że teraz znowu jest pięknie utrzymane. A najpiękniejszy cmentarz to wiecie, gdzie jest? W Loretto. W Loretto pod Ankoną. Tam ten cmentarz utrzymują od razu od początku siostry nazaretanki. One tam mają klasztor nie daleko, no i przepiękny na takim wzgórzu. I z widokiem na morze. No, cudnie. Utrzymany zawsze przepięknie. Tylko nie taki duży jak ani ten w Bolonii, ani na Monte Cassino. Mniejszy cmentarz, bo przecież Polacy to byli, przecież mamy piękną pamiątkę w Loretto właśnie, żeby nie polscy żołnierze, nie 2. Korpus, to Niemcy chcieli zburzyć tę bazylikę, to sanktuarium. Już mieli armaty wystawiane, już strzelali. Tam jest pamiątkowy obraz taki w Loretto, który to przedstawia. I Polacy zaczęli, atak specjalnie zrobili, żeby Niemcom przeszkodzić, żeby nie burzyli tej bazyliki. No, więc wszędzie gdziekolwiek byście pojechali teraz do Włoch szlakiem 2. Korpusu, zobaczycie wszędzie pamiątki. Wszędzie Polacy zostawili to przepiękne pamiątki. Mało później, ja jadąc jeszcze z Argentyny, odwiedziłem, akurat jak było tysiąclecie Polski, byłem w Szwajcarii odwiedzić tego mego kolegę. No i tam dopiero zobaczyłem ten, ta 2. Dywizja, która była internowana w Szwajcarii, żebyście wy zobaczyli, jakie oni tam pamiątki zostawili w czasie tego ich czteroletniego pobytu jako internowani. Tam na górze, na wspaniałej górze przy głównej drodze, która idzie z Bellinzony do Zurychu. Duża góra, wielki orzeł polski wydtubany w skale, który pozostanie na wieki wieków. Później droga z Locarno do góry, w góry kolejka podziemna i kaplica jest. W tej kaplicy jest polski ołtarz, polskie pamiątki. Wszystko to było, a na tym tysiącleciu Polski to byłem w Locarno akurat i tam ksiądz, ten, który był tam sławny ksiądz profesor Bocheński. On był na tej uroczystości. Oczywiście dwóch biskupów szwajcarskich i cała kolonia polska. A ja przyjechałem do Argentyny, ponieważ znałem język włoski, tam jeszcze akurat w Bellinzonie, w Locarno, to nie jest włoski, niech pan Bóg broni powiedzieć im, że oni są Włochami, czy mówią po włosku. Nie, oni mają swój dialekt taki, ale to jest włoski język, tylko z dialektem takim mniej więcej, jak w Neapolu też język włoski, ale kto nie zna dobrze włoskiego, to ich nie zrozumie. I ja tam byłem takim prelegentem na tej pięknej uroczystości. Tam największy chór śpiewał, ten szwajcarski. I ten ksiądz profesor Bocheński wtedy to był autorytet w Szwajcarii Bocheński to miał w telewizji szwajcarskiej, on miał, dwa razy w tygodniu całą godzinę przemawiał. Miał wykłady, teologiczne przeważnie. No i rozstawił Polskę niesamowicie. Później tam miałem okazję, wiecie, przecież Kościuszko zmarł w Szwajcarii. Jego całe życie prawie na końcu to on był w Szwajcarii. Tam jego pałace, tam jeszcze są ludzie, z którymi ja rozmawiałem, znaczy ich potomkowie, wnukowie tych, którzy, mówię, tam utrzymywali stajnie, koniki Kościuszki. Opowiadali to wszystko. Później jest piękne muzeum. Jak się nazywa ta miejscowość, Solura w Szwajcarii. Polskie muzeum kościuszkowskie. Co za pamiątki na świecie są i piękne pamiątki. Bo ja byłem z bratem, proszę państwa, w Paryżu. W Paryżu to nie zapomnę. A on Zmartwychwstaniec, pamiętacie, jak Zmartwychwstańcy swój początek, to mają z Paryża. Tam się zbierali emigranci polscy, Jański, Kalisiewicz, Semenenko, Mickiewicz i Polska była też na rozdrożu. I tam sekty różne i tak dalej, aż wreszcie Mickiewicz zebrał i powiedział, rzucił to hasło, mówi, Polsce potrzeba nowego zakonu. I tam Jański to był cywil, on był księdzem, nie był, no, mało, że był, nawet był żonaty tu w Polsce, ale był na emigracji tej politycznej, brał w powstaniu udział, no i później musiał uciekać. No i on był głównym założycielem księży Zmartwychwstańców. I mój brat,

ponieważ, jak mówię, on tam został przełożony w domu generalnym, ja samochodem objechaliśmy całą Francję i też szlakiem tam przez Lourdes, przez La Salette, całą Francję objechałem. No i najwięcej do Paryża. W Paryżu pierwsze to iść na Chopina. No, Chopin jest teraz gdzie, w Krakowie, gdzie jest Chopin pochowany? Jego serce, jego grób tam jest. I idziemy na ten sławny cmentarz, Pere-Lachaise się nazywał. Atary cmentarz, sławny. No i idziemy, no, ale gdzie znaleźć tutaj Chopina. Idziemy do stróża przy wejściu, a tam chmara ludzi, mówię wam. Rzesza ludzi przechodzi na ten cmentarz. Widziałem przewodnika, pytałem się: „Gdzie do Chopina?”. On mówi: „Idźcie za tą chmaram ludzi, idźcie za nimi”. To oni wszyscy do Chopina szli, tam na grób Chopina. A później byliśmy oczywiście też w tej kaplicy Napoleona, byliśmy pod łukiem Triumfalnym, wiecie, wiele tam napisów, polskich generałów, nie generałów różnych, bohaterów napoleońskich jeszcze, bo to wszystko na tym łuku Triumfalnym, to wszędzie gdziekolwiek byśmy byli, pełno polskich pamiątek, chwalebnych pamiątek. Tylko trzeba je znać. W Rzymie, kto nikt nie wie, ale ja to wszystko wyszukałem. Syn Sobieskiego jest pochowany, to nieznany w ogóle, jest pochowany, nawet wiem, w jakim kościele Kapucynów. No i wszędzie, gdziekolwiek... O, i jest taka brama, gdzie tam nam napisy są w każdym... brama, którą nasi posłowie wjeżdżali do... wtedy było państwo kościelne, do papieża z wizytą, jak przejeżdżali przez te bramy, to była Polska w takim rozkwicie, taka bogata, że podkowy końskie były podkute tymi złotymi podkowami i specjalnie tylko lekko przybite, żeby te podkowy zostały tam na miejscu i tam jest napis i pokazują tę bramę, i mówi, tutaj delegacja polska wjeżdżała i tutaj podkowy, złote podkowy zostawiali na pamiątkę. Wszędzie gdziekolwiek, mówię, są pełno pamiątek polskich. Tylko pięknych pamiątek. Teraz tylko boli mnie to niesamowicie, jak słyszę i to opowiadają nawet nasi posłowie, nasi, niby elita nasza, potrafią psioczyć i pluć na Polskę, i nie tylko tu wewnątrz, ale i na zewnątrz. A to, co jest teraz wewnątrz, to wiadomo, że to się od razu rozchodzi na cały świat. Bo to jest powielane jedno przez drugie, bo oni mają wszystko, cała ta prencja, niecła, to oni mają takie powiązania, że to od razu idzie w świat. I to nas boli. No dobrze...

Rafał Pękała: Mam jeszcze pytanie, ponieważ została nam chwilka jeszcze, tak że taka krótsza wypowiedź, ale to nie znaczy, że dwa zdania. Jeżeli chodzi o Złocieniec. Co wujkowi tutaj się najbardziej podoba?

Wacław Żelazek: No, więc jak tylko zajechałem, mówię, blisko mieszkała siostra. Jeszcze przyjeżdżając z Argentyny, to już mówię, z moją najstarszą siostrą, to tutaj przejeżdżałem przede wszystkim do tej siostry, odwiedzać ich tutaj. Oni są leśnikami. Zawsze byli w lasach, nadleśnicy, leśnicy. Zawsze jak ja zająłem do tych lasów z tego pustkowie argentyńskiego, z tej niziny, gdzie drzewa, lasu to nie ma nawet, no, nie widać i tutaj mnie się wydawało naprawdę raj ziemski Te jeziora, te lasy, bliskość rodziny, jakby nie było, siostra i później poznałem całą jej rodzinę. Ma czterech synów. Każdą rodzinę po kolei, całe tu otoczenie. Tylko politycznie nie bardzo się zgadzamy teraz, ale pod tym względem to zawsze mi była bliska rodzina. I w tym mieście się zakochałem, w tej dzielnicy, bo Polskę objechałem całą, znam, tu jest naprawdę pięknie. No i mi się spodobało, i tu kazałem szukać jakiegoś miejsca. A jak zobaczyłem ten domek, to sami widzicie, to jest ładny domek, solidnie urządzone i wyposażony. Ja już zmęczony różnymi przeprowadzkami, budowaniem domów i tak dalej, mówię, tu mam gotowe, na starość i moją rodzinę sprowadzę i będziemy sobie żyć tutaj. No, ale rodzinie nie udało się sprowadzić, jestem sam. Gości przyjmuję, jak się da, pracuję, gdzie mogę, co mogę, do szkół chodzę, dzieci do mnie przychodzą tutaj, nauczyciele prowadzą, żeby im opowiadać. Jak najchętniej to robię. Bardzo się udzielam w parafii i robię, co mogę. No, a teraz po śmierci Mariana, to mówię, to oni mnie tutaj ciągną po całej Polsce. Chcieliby wszędzie mnie mieć, żeby im opowiadał o Marianie

i to jest tak, że we mnie widzą prawie jakby następcę Mariana. Zwłaszcza tam w Palędziu, w Poznaniu. Tam te szkoły, bo gdziekolwiek to już, patrz, buduje, bo mi pokazują, tu wielka szkoła się buduje, będzie pod nazwiskiem ojca Mariana, tam będzie kościółek stał ojca Mariana. No i mnie wszędzie wołają. Tam płatkę, jakieś popiersie, odsłonięcie, muszę być. No i muszę przemawiać, no... Było, jest kanał trzeci w telewizji, ale regionalnej. Tak jak mówię, ja tam mam w Palędziu, to od razu oni jeżdżą prawie za mną i od razu podają. Tak że mówię, jak byłem ostatnio w Palędziu właśnie, to nie zdążyłem dojechać do Chludowa późno wieczorem, a oni już wszystko widzieli w telewizji. Więc ja bardzo się cieszę, jakby nie było, może, a jak mówię, gdziekolwiek jadę, oni już teraz się modlą, żeby Mariana jak najszybciej beatyfikować, wynieść na ołtarze, o to się modlą. O to tam się im przemówienia i uroczystości, wszystko w tej intencji teraz. I z tego oczywiście, no, jak się nie mam cieszyć. To mój brat. I to kochany brat. Prawie rówieśnik, któremu kiedyś na barana siadałem na niego, bo on był zawsze grubas, nazywaliśmy go grubasek. Grubas. A ja byłem sobie zawsze, a przy tym urwis niesamowity, na barana w szkole, w gimnazjum, pamiętam, on przysadzisty, ja sobie lekki taki, na barana i podchody między chłopakami, kto kogo zwali z konia. Moje życzenie, żeby Marysiowi, jak mówię, może się uda, może Bozia tu pozwoli, że doczekam, że naprawdę jemu... doczekam się tego, że jakiś, przynajmniej sługą bożym oficjalnie go ogłoszą. Bo mu się to naprawdę, jak byłem w tych Indiach i zobaczyłem te jego dzieła, to mu się należy naprawdę. Jak zobaczyłem to przywiązanie, tę miłość tych Hindusów do Mariana, którą mnie później chcieli okazać, to mi wystarczyło. Oni go tam naprawdę uwielbiali, tak pokochali, że jemu się naprawdę należy wszystko, te wszystkie dzieła, jakie dokonał tam. No i to uwielbienie, miłość jego, że chciałbym się doczekać tego, żeby przynajmniej go sługą bożym ogłosili oficjalnie.